TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 3. *Chicago, Ills., 16 Lipca, 1885 r.* Rok II.



Poddanie się Indyan wojsku Stanów Zjednoczonych. (Strona 48.)

TRZY MIESIĄCE.

ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU.

WYDAŁ

JOZEF NARZYMSKI.

(Ciąg dalszy.)

A jednak cóż jabym nie dał za to, żeby zapomnieć o całej tej sprawie.... żeby usnąć, lub pamięć stracić do ostatniej chwili.... Ale dla czego mnie to tak obchodzi bardzo?.... Wszak pierwszy lepszy Japończyk z największym spokojem rozdziera sobie brzuch kindżałem o naznaczonej wyrokiem godzinie? Miałżebym mieć mniej od niego odwagi?.... Nie! a jednak?.... Nie, nie wyjdę z dylematu tego.... Mogę rozumować jak zechcę.... mogę grać lepiej lub gorzej komedyę, roztrzaskam sobie czaszkę nie chybiwszy ani sekundy, ale niech co chce będzie.... żal mi życia i śmierć jest zawsze przerażającą.... zwłaszcza tak wczesna, tak pewna i tak jałowa....

Tak!.... ginę bez celu.... bez nadziei rezultatu.... Ah! czy nie to mnie w niej przeraża?.... Czy nie dla tego, ja, marzący tyle razy o skonaniu w bohaterskim boju, drżę dziś jak dziecię i męczę się tą myślą, która dla tylu innych nie miała nic strasznego?.... Czyż nie miała?.... Czy rzeczywiście ci wszyscy, którzy z cudzej lub własnej ręki ginęli tak odważnie, nie drżeli w duszy, nie żałowali trochę życia?

Warszawa, 18 kwietnia.

Byłem dziś u Józia na imieninach... Piłem jak szalony, grałem jak waryat... Wino robiło mnie smutniejszym, szczęście w grze do wściekłości doprowadzało... Myślałem, że hulanka i wino pozwolą mi zapomnieć na chwilę o wyroku na mnie ciężącym, ale widzę, że przeciwnie... Wśród śmiechów pijanych i wesołych twarzy, zdaje mi się, że wyglądać muszę dziwnie... a przeklęta dwunasta wciąż majaczeje przedemną... Piękna Zosia wydała mi się potworem... powiedziałem jej po pijanemu impertynencyę jakąś... Wstyd mi... źle... klaskano moim dowcipom... a jam się nienawidził...

Warszawa 21 kwietnia.

Zkąd ten człowiek wpadł na pomysł tak piekielny? Jaki szatan mu go podszepnął?... I dla czego taki odległy naznaczył termin?... Jemu mógł być potrzebny, ale mnie na co?... Żebyż zaraz, natychmiast po losowaniu przyszło w łeb sobie palnąć, byłbym to zrobił z krwią najzimniejszą... Zresztą dzień, dwa... ale trzy miesiące czuć się samobójcą, czuć na czole lufę pistoletu i liczyć dnie, godziny i minuty, przez dziewięćdziesiąt dni przeszło żegnać co chwila wszystko co kochamy i co nas wiąże do życia... A! szatan tylko piekielną taką mógł wymyśleć torturę... Wprawdzie ja mam prawo zastrzelić się każdego dnia... trzy miesiące to tylko termin ostatni... Nic mi więc nie przeszkadza skrócić czas mych męczarni. Nic... tak... ale gdy mam umrzeć w całej pełni sił i życia, przyspieszać jeszcze... samochcąc... Gdybym był przyrzekł zabić się natychmiast, byłoby najlepiej dla mnie... ale dziś, choć każdy dzień nowe mi przynosi męki, każdy przecież jest dniem życia jeszcze... cierpię... więc żyję... A potem mógłżebym ja pozbawić niepotrzebnie choć jednej pieszczoty moją biedną matkę, mógłżebym o godzinę chociaż przyspieszyć cios okropny?... A potem wiosna... wiosna... maj się zbliża... Od dawna już skowronki śpiewają... od dawna zazieleniły się łąki i pączki nabrzmiewają na drzewach... miałżebym umrzeć przed wiosną... raz jeszcze nie upoić się jej zapachem, nie pomarzyć w cichą noc majową, przy śpiewie słowika, nie podumać przy żab krakaniu i krzyku derkacza. Nie! muszę to wszystko pożegnać... nasycić się tem wszystkiem i upoić się muszę na nieznaną wędrówkę... Niech się

tylko pierwszy listek pokaże, a wylecę na wieś... Dziwna rzecz, z powiewem wiosny, ja, który ją mam ostatni raz zobaczyć, czuję się przecież spokojniejszym i silniejszym wiele... Są chwile, w których nie wierzę w możność śmierci wobec tego życia rwącego się do słońca wszystkiemi porami, to znów, śmierć mi wydaje się tylko rozpłynieniem się w naturze... czemś... czego określić nie umiem... Widzę, że się wszystko odradza, więc i ja z łaski Wirskiego także całkiem umrzeć nie mogę... Nikczemny jest. Przysłał faktora pytać niby, czybym ja jego kuzynowi wioski od św. Jana w dzierżawę nie puścił. Było to niejako nikczemne wywiadywanie się. Odpowiedziałem, że bardzo dobrze, że około 15 czerwca będę na wsi, to się rozmówię... Będzie przekonany, że wykonać warunku nie myślę... Tymczasem od Julii miałem już dwa zaproszenia, na które odpowiedziałem naturalnie, że jakkolwiek życie jestem gotów za rozmowę z nią położyć (czego daję niestety dowód), jednakże pewne okoliczności itd... Biedny Wirski!... Co ty masz z tej kobiety?... Ciało tylko... dusza jej i serce...

Warszawa 22 kwietnia.

O serce matki! w ciebie Bóg wlał przeczucie... intuicyę tego, co dzieciom twym potrzeba, ty odgadujesz, co rany twych ukochanych wyleczyć lub przynajmniej złagodzić może... Od owej sceny w dniu Wielkiejnocy, nie zaczepiła mnie już więcej, nie zapytała o powód mej zmiany. Nie mogłem się łudzić, że jest spokojną. Wiedziałem, jaką straszną zagadkę rzuciłem w jej mózg biedny nierozważnem rozrzewnieniem.

Ale raz z mych ust usłyszawszy: „nie mogę", wolała się sama dręczyć, jak mój ból rozdrażniać daremnemi badaniami... Wiedziała ona co mnie kosztuje robić jej przykrość, odmawiać jej żądaniu i milczała... Co się jednak działo w tem sercu mną i Izą tylko żyjącem?... ile nocy bezsennych kobieta ta spędzić musiała na bolesnych a daremnych domysłach, jakie przypuszczenia i obrazy tworzyła ta przerażona o najdroższą istotę imaginacya... ile łez wylały te piękne jeszcze i łagodne oczy, ile modlitw gorących popłynęło do stóp Matki bolesnej!... Rozpacz mnie na myśl samą porywa...

Bo ja znam matkę moją i wiem, że moje tortury są niczem w porównaniu z jej mękami. Ona mnie tak kocha!... ona tak dumną była zawsze ze mnie!... Dziś... są może chwile, że wątpi o mnie!... Ona wątpi!... to okropne... a jednak tak być musi!... Czyż przypuszczenie, żem spełnił nikczemność jaką, nie jest prawie koniecznością... Bo i jakiejże innej boleści nie śmiałbym wyznać przed nią?... na jaką inną ranę nie szukać w jej sercu balsamu i ukojenia?

A jeżeli tak jest, to jakaż przerażająca boleść musi ściskać biedne jej serce, jakie przerażenie blade stać przy niej w czasie bezsennych nocy!... Jej Karol popełnił podłość, która go męczy, a której wyznać nie śmie!... Sama myśl ta zabija ją już zwolna... A jednak nie ma rady... Widzę też, że zwykła jej przezroczysta bladość nabiera żółtawego koloru, że powolny chód jej staje się jeszcze wolniejszym. Nie dostrzegłem jednak przez te dni dziesięć ani łzy jednej... uścisk jej i pocałunek serdeczniejszy jeszcze, ale ma w sobie coś nerwowego... Czasem, gdy sądzi, że jej nie uważam, wpatruje się we mnie, jakby chciała okiem sięgnąć aż do duszy i czytać w niej, jak w otwartej książce...

Nie ma co się łudzić, zabijam najlepszą, anielską, najukochańszą matkę... torturuję ją... życie jej zaprawiam goryczą i skracam co chwila... a jednak, mój Boże! co ja na to poradzić mogę...

Owszem, nauczony doświadczeniem, może już nieco przywykły do położenia mego i z niem oswojony, sądzę, że jestem swobodny... Niestety! to już po niewczasie... Trzeba było mieć sumienie od razu!... Przychodziła mi czasem myśl, żeby wrócić do owej sceny w dzień Wielkiejnocy i jakimś choćby romansikiem ją usprawiedliwić, ale nie mam odwagi... Nie umiem kłamać, zwłaszcza w obec niej... Zawikłałbym tylko jeszcze rzecz całą, i zranił ją boleśnie oczywistą chęcią oszukania jej...

Myślałem wyjechać, zniknięcie mej twarzy zżółkłej i mych oczu, często gorączkowo błyszczących nie uspokoiłoby jej, ale usunęłoby choć przedmiot niepokoju. Prócz tego za pierwszym powiewem wiosny całą duszą zatęskniłem za wsią, szerokiem polem i woniami leśnemi. Zwykle jednak mama z Izą i ich zwykłe znajomości dopiero w połowie maja się rozjeżdżają. Bałem się, by ten pośpiech nie był jej przykrym, lub jej nie zaniepokoił więcej.

Postanowiłem więc razem dopiero wyje-

chać... Dziś tymczasem wieczorem, gdyśmy wrócili ze spaceru, i gdy o szarej godzinie siedziałem sam w saloniku, wsunęła się jak zwykle cicho i siadłszy przy mnie a przyciskając mą głowę do piersi, rzekła:

— Chcę ci coś zaproponować moje dziecię...

— Co mameczko? rzekłem, całując jej rękę.

— Jedź na wieś, nie czekając za nami...

— Ale mama bezemnie... zresztą to o parę tygodni tylko idzie...

— Tak... przyspieszyłabym mój wyjazd, bo mi smutno będzie bez ciebie, ale chcę, żeby Izia ukończyła swoje lekcye śpiewu... zresztą ciotka twoja prosiła mnie tak serdecznie, by jej nie zostawiać samej z dwojgiem dzieci chorych... Dla ciebie jednak wieś potrzebna ..

— Mógłbym jednakże poczekać te dni kilkanaście — mówiłem już więcej, by się nie wydać z radością.

— Po co, moje dziecię... a nawet przeciwnie... Dobrze, że czas jakiś pobędziesz sam... w starym naszym domu... że sobie pomarzysz pod cieniem lip... i pomodlisz się na grobach twego ojca i dziadunia... Na choroby duszy, moje dziecię, nic zbawienniejszego jak to sam na sam z naturą i z Bogiem... Słońce, zieleń i błękit wracają życie w piersi bez oddechu, pamiątki rodzinne, wiosna, otoczenie się tem, co do nas wspomnieniami dzieciństwa przemawia, uspokaja walki wewnętrzne, wlewa wiarę w miejsce zwątpienia i dodaje sił do podniesienia z upadku...

Zrozumiałem doniosłość ostatnich wyrazów, alem ich nie podniósł... Wszak niedługo dowiesz się biedna kobieto prawdy, i przekonasz się, że syn twój... nie upadł... Ale być podejrzywanym!... przez matkę!...

— Jutro — mówiła dalej — jeszcze zostaniesz z nami, ciężko mi się rozstać z tobą, ale pojutrze raniutko... fru!... Lolo na wakacye do Dębowa pojedzie... Pamiętaj tylko — ochraniaj się — noce majowe są czasem niebezpieczne u nas... zaziębić się najłatwiej...

Westchnąłem cicho, pomyślawszy, jak dziwna jest ta troskliwość o człowieka, który ma przed sobą półtora miesiąca czasu...

Później rozmawialiśmy długo, a mnie ta nadzieja blizkiej samotności, swobody od ciągłego baczenia na siebie, zaczęty obraz tej wiosny... tak lubionej, a ostatniej, wprowadziły seryo w dobry humor, który znów naturalnie oddziałał na matkę. Chwilami była prawie wesoła... Był to jedyny wieczór tak przyjemnie spędzony od dawna... może ostatni...

Warszawa 23 kwietnia.

Adieu więc Warszawo!... Żegnam cię po raz ostatni zapewne!... Może wpadnę jeszcze by mury twe zobaczyć, tu i owdzie dawne uszczknąć wspomnienia, temu i owemu koledze lat dziecinnych i przyjacielowi rękę raz ostatni uścisnąć... Poczciwe, drogie miasto! lekkie, płoche, dziecinne, rozpustne, ale w którem serca biją żywiej, szlachetniej, goręcej ku pięknu i zacnym celom, jak w innych mrowiskach ludzkich... Nie wiem już ile wizyt odbyłem, ile oddałem biletów. U Wirskich nie byłem naturalnie, ale wypadek chciał, żem w Saskim ogrodzie spotkał Julię z lokajem tylko. Powiedziałem jej, że ją żegnam.., na zawsze... Zbladła i musiała usiąść na ławeczce... Obróciłem to w żart i żartem także powiedziałem jej, że pewna osoba, bardzo ją blizko obchodząca, przyniesie jej o mnie wiadomość zabawną po 12 czerwca.

— Żenisz się pan? — zapytała cicho, spuszczając oczy.

— Nie, czy to byłoby zabawne?...

— Więc cóż?...

— Ha! w tem tajemnica... naprzykład w łeb sobie palę...

— Z miłości? — rzekła z trochą ironii. — Pan nie należysz do tych szaleńców... jesteś bardzo rozważny...

— Niestety! nie dosyć jednak!...

— Nie rozumiem...

— Zrozumie to pani... po 12 czerwca... tymczasem... odrobinkę pamięci, czy dobrze?...

Całe serce i cała dusza zlała się w jej oku i w ręki uścisku... Byłaby za mną poszła w otchłań w tej chwili... Prąd elektryczny mnie uderzył i... zdawało mi się w tej chwili, że kocham tę kobietę... a szatan szeptał: „Ząb za ząb" i pokazywał Wirskiego z małpią jego, dyszącą nienawiścią i szyderstwem twarzą...

— A ona?... — szeptała mi ta poczciwa komórka mózgowa, która się sumieniem zowie, a którą matusia moja tak starannie pielęgnowała. — A ona?... co z nią się stanie?...

— Biedna kobieta! — westchnąłem patrząc za odchodzącą. — Grzeszy, a jednak niewinna!...

Wkrótce spotkałem Alfreda.

— No, stary — rzekłem — chodź na kieliszek... Z tobą jednym wypić mi wolno, gdy Leona nie ma... Wyjeżdżam i nie zobaczymy się więcej... jego uściskaj...

Alfred spojrzał mi w oczy jakby przestraszony i zapytał:

— Jakto?... wyjeżdżasz?... dokąd?...

– Do siebie na wieś... a potem.... wiesz... wedle marszruty Danta...

— Ty nie możesz jechać...

— Z powodu?...

— Ja i Leon od dnia tego przeklętego losowania spać nie możemy... To rzecz niemożliwa... takie szaleństwo stać się nie może...

— Co?... co?... co?... zwaryowałeś?...

— Tak, zwołamy sąd honorowy, wniesiemy tę sprawę...

— Słuchaj-że — rzekłem surowo — czy na mojem miejscu zgodziłbyś się na to?... Słowo honoru?...

Alfred zaczerwienił się i zakrztusił...

— Ja... ja... widzisz... to co innego...

— Co?... co?... i ty mi ubliżasz...

— Ależ nie... nie... tylko... ja sam... a ty...

— Słuchaj że mój drogi Alfredzie — rzekłem serdecznie ale stanowczo — jeżeli jeden krok podobny zrobicie, daję ci słowo, nie czekając terminu w łeb sobie palnę... Wszystko, ale nikczemność!... Cierpię... to prawda... ale się nie zbłaźnię.... Dajcież mi życiem się nacieszyć jeszcze!... Patrz, taka wiosna śliczna!...

Alfred na środku ulicy rzucił mi się na szyję ze łzami w oczach, a choć obaj udawaliśmy wesołość, byliśmy, mimo szampana, obaj smutni.

— Nie wiem jeszcze, gdzie katastrofa nastąpi — mówiłem do niego — ale liczę na ciebie.... będziesz przyjacielem moich.... Pragnąłbym, żeby Iza poszła za Leona.... Powiedz mu, żeby w początkach czerwca pojechał do Dębowa.... Matka go bardzo lubi.... on jeden mnie w części zastąpi.... Niech jednak pilnuje telegrafów i listów, żeby cios matki nie uderzył zbyt boleśnie....

I w ten sposób rozmowa toczyła się długo.... długo!.... Alfred, jak mówiłem, miał lat przeszło 40, był wcieloną zacnością, rycerskością, poczciwością i był naszym kuzynem, a matkę moją kochał jak własną. Jemu więc najwłaściwiej było oddać opiekę nad skarbami memi. I dziwna rzecz. Wypiliśmy pół butelki szampana, byliśmy więc trzeźwi i o tym testamencie moim mówiliśmy godzin trzy lub cztery.... Dziwna rzecz!.... mówiłem o tem spokojnie.... rozważnie.... z przyjemnością.... z dokładnością niezmierną.... Choć miałem zamiar zostawić instrukcye na piśmie, objaśniałem Alfreda o wszystkiem z zupełną jasnością....

W pierwszej chwili nie zastanowiłem się nad tem, teraz pytam się, zkąd ten spokój?... Wszak przedmiot był niby tragiczny. Dawałem przyjacielowi instrukcye pośmiertne, i to nie ewentualne, ale pewne.... to rzecz dość żałobna... Jednakże źródło mego spokoju widoczne.... Nie myślałem o sobie, ale o tych, których kocham.... Miłość i myśl o ukochanych absorbuje człowieka... Egoizm jego milknie na chwilę... Nauka stara, a jednak teraz ją dopiero przypomniałem sobie.

Dębowo 25 kwietnia.

Ha! jestem tu nareszcie!... Cóż ja za tryngieldy płaciłem pocztylionom by lecieli szybko!... Pędzili też jak szaleńcy... 12 mil w ciągu 9 godzin z przeprzęgami... to nieźle!... a ja najprzód lubię jeździć szybko, a potem nie mam czasu do stracenia.

Matczysko popłakało się trochę, ale kontenta była, że wyjeżdżam. Jak każda wyższa istota, ma ona wielką wiarę w potęgę piękności natury i wspomnień rodzinnych.

Iza z jakąś tajemniczą miną mnie żegnała, zapewniając, że mój wyjazd widocznie sam Pan Bóg natchnął mamie, bo jak na zawołanie i lekarstwo na chorobę się tam, to jest tutaj zjawiło... Lekarstwem tem ma być, wedle niej nie natura i samotność, ale panna Marya Sztarska, majętna sierota, koleżanka od pani Kraków i przyjaciółka najserdeczniejsza, ósmy cud świata, zawsze wedle Izy, ideał piękności, wdzięku, rozumu itd. Cudo to, starsze trochę od Izy, niedawno właśnie przybyło do państwa Strusiów, swoich dziadków i opiekunów, dwojga staruszków wielkiej zacności, choć czasem trochę śmiesznych, a naszych sąsiadów i najdawniejszych przyjaciół. On był nawet opiekunem naszym i mnie kochał jak syna.

Iza właśnie w wilię mego wyjazdu odebrała bilecik od przyjaciółki, ale trzymała to w sekrecie i dopiero przy śniadaniu rzekła z niechcenia:

— Mam do ciebie prośbę, braciszku

— Słucham... donieść, jak się ma twoja Gazella... czy ją czasem do wożenia mierzwy nie używają...

— Oho!... niech Bóg broni... ale nie o to idzie. Wszak będziesz w Słomnikach u Strusiów?...

— Mam zamiar aż do waszego przybycia nigdzie nie bywać i żyć jak ostatni z Mohikanów...

— A, moje dziecię — wtrąciła matka — rozżaliłbyś ich serdecznie... Oni cię tak kochają... Bądź tam, i to zaraz... wiesz jacy uważający i draźliwi...

— Jeżeli mama życzy sobie...

— Zresztą u nich tak miło — wtrąciła Iza.

— Jak wszędzie, gdzie są serca — dodała matka.

— A więc zaraz w pierwszych dniach, to jest jutro lub pojutrze jedziesz do Słomnik... c'est convenu — szczebiotała Iza.

— Dajmy na to, że dopiero we czwartek lub w piątek...

— W piątek nie, bo to dzień feralny...

— Alboż ja pierwszy raz będę w Słomnikach...

— Nie, ale od tej bytności zacznie się kuracya chorego Lolusia...

— Tak? — rzekłem, kłamiąc uśmiech, bo na moją chorobę kuracyi nie było — i jakąż metodą?

Starą jak świat, ale zawsze dobrą... na wszelkie nudy, dolegliwości i spleny młodych...

— Nazwisko jej?...

— Miłość...

— Ah!... to moja biała lilia już tak przekonana o dobroci metody?...

Zarumieniło się biedactwo, a matka z wyrzutem na mnie spojrzała.

Wstydź się — mówiła Iza — jakże można...

— Przepraszam cię aniołku... no, więc któż to ma kuracyę moją prowadzić w Słomnikach?... Pani Strusiowa, czy panna Petronela?...

— Ale pfe!... Do Słomnik teraz zjechał mój anioł... wiesz... najdroższa, najpiękniejsza moja Marylka... Oh! wszystkie Warszawianki zniknęłyby przy niej...

Ah! prawda... mówiłaś... ale zapomniałem... więc ona tam jest... aha!... no, jeżeli taka jak na fotografii, to nie złego wybrałaś mi doktora.

— A widzi mama!... a widzi mama!... — wołała wesoła i wbrew zwykłej powadze rozpromieniona dziewczyna — ja wiedziałam, że ona mu się podoba... Bo, jakże podobać się nie ma... Ah! fotografia ci się podobała! ależ to cień, to karykatura, to parodya...

— Wiesz Iziu!... kocham cię za to, że tak szczerze admirujesz piękność drugiej...

— Bo wiem, że mam jej także na swoją potrzebę...

— Iziu!... Iziu!... zawołała oburzona matka.

Ale Iza była wtedy z tą pewną siebie pozą tak piękna, tak szczera, tak jej się to wyrwało naturalnie, że matka łając nie miała serca, a ja ją ściskałem z radością i dumą...

— Brawo Iziu!... brawo — wołałem — bo niczego tak nie wielbię, jak szczerość i naturalność...

— Ah!... — mówiła rozpromieniona — jakżebym ja ci biła brawo, żebyś ty się rozkochał w mojej Marylce a ona w tobie!... Tylko że to trudno...

— Tak?...

— Oh! bardzo!... Ona bardzo wymagająca... jej przyszły musi być ideałem...

— No, to już ze mną rzecz skończona...

— Oh! czemu?... byle cię tylko poznała, to jest byleś ty jej się dał poznać takim jak jesteś... naprawdę... rozumiesz Karolu... Oho!... Iza cię zna!... i siadłszy na moich kolanach, odrzuciła mi w tył włosy a drugą ręką objąwszy za szyję, szczebiotała:

— Oh! tak!... bądź sobą... jak to z nami być umiesz... a raczej bywałeś... i pokochaj ją, a ona cię pokocha... pokocha z pewnością... ja wiem czego ona chce... o czem marzy... i zawsze jej mówiłam: „Mój Lolo akurat taki". Mój drogi!... mój najmilszy!... mój złoty braciszku!... zakochaj się w Marylce i ją rozkochaj i ożeń się z nią i wprowadź ją do nas... To moje marzenie złote i... — dodała ciszej — marzenie mamy...

Spostrzegłem, że to, co brałem na żart, moje anioły traktowały na seryo. Choć mnie zawsze oburzała myśl „być ożenionym", przecież w tem podsunięciu myśli było tyle delikatności i naiwności, że obrazić się było niepodobieństwem. Po raz pierwszy nawet dowiedziałem się, że matka o tem myślała... Ale ta kobieta pełna delikatności zlękła się nawet pozoru nacisku i przerwała:

— Nie wierz jej Karolu!... kocham bardzo Marynię, ale nigdybym ci nie narzucała żony... nawet nie doradzała.,.

— Ja mu radzę... czemu nie... niby on mi nie będzie radził także...

— Leona — szepnąłem w ucho.

Spłonęła jak róża i chciała się rozgniewać, ale wolała udać, że nie słyszy i mówiła dalej:

— Otóż, żeby mój braciszek nie czekał za romansowym wypadkiem, zbieganiem koni, burzą na strumieniu lub czemś podobnem, powierzam ci tu list i pudełko do Marylki, a ty mi dajesz słowo honoru, że bądź co bądź we czwartek najdalej oddasz osobiście to do rąk adresantki... To bardzo pilne. Reszta pójdzie sama z siebie!... I przybierając patetyczną minę, zaczęła deklamować: „Gdy się dwie gwiazdy..." a, już nie pamiętam dalej... Przyrzekłem wszystko, boć okrucieństwem byłoby odbierać nawet nadzieję... ale scena ta, tak miła, wdzięczna i naturalna w każdej rodzinie, tylko boleśnie odbiła się we mnie... bo była ona względem mnie mimowolną ironią...

Mnie marzyć o kochance czy żonie... o ognisku domowem!... mnie!... ha!... ha!... ha!... a 12 czerwca co mówi?...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BAŚNIE.

PAN KOŻUSZEK.

(Dokończenie.)

— O mój panie, mój panie, mój wybawco, rzekła babina kiwając głową, a nie zważając na wzmiankę o królewnie — gdybyś miał chociaż te pieniądze, które ci wydarli za moje niewinne życie, ale gdzie tam, co wilkowi w gardło wpadło to przepadło. —

Cóż robić? bąknął żołnierz, alem ja o tem już dawno zapomniał, już teraz myślę o czem innem, myślę znaleźć królewnę, którą niedawno ktoś porwał i gdzieś podział — a baba, wytrzeszczając na niego maleńkie krucze swe oczy, rzekła: Królewny, królewny ci się zachciało, słuchaj mój panie, słuchaj; gdybyś chciał tyle pieniędzy, wiele tobie zbójcy wydarli, możebyś prędzej ich dostał — ale o królewnę ciężka sprawa... Czy ty wiesz gdzie jesteś, u kogo? czy ty wiesz, że gdyby nie ja, niedługobyś żył na świecie — żołnierz był ciekawy, dla czego — a baba mówiła dalej:

To całe podziemne królestwo należy do mego syna, bo on wszystkich co tu mieszkali pozabijał, i wszystkie bogactwa, które oni z nim posiadali, sam teraz posiada, i nie masz tu nikogo, tylko on sam, ja i mój ojciec, czyli jego dziadek, który choć stary i mały, ale tak prawie mocny jak mój syn, a nad mego syna nie masz mocniejszego w świecie człowieka— cóżbyś więc zrobił sam jeden, mój syn jednym palcem gdyby chciał, toby cię zabił — ale nie bój się, ja tu jestem, ja którąś ty od śmierci wykupił, i mój syn wiedząc o tem, pewno ci podziękuje — ale królewny by ci nie dał, bo ją sam porwał dla siebie — Że zaś ona nie przeznaczona dla niego, spuść się na mnie we wszystkiem, ja za pomocą mej sztuki może co zrobię, ale sam nie mów teraz nic o tem, udaj, żeś tu nie po to przyszedł, i w tamtym lochu czekaj cierpliwie.

Żołnierz poszedł do osobnego lochu, a ktoś trzy razy w skałę mieczem uderzył — słysząc to owa staruszka, do zapory pobiegła, a zapytawszy się: jak żyjesz, jak jesz i pijesz — po odpowiedzi: Żyję nie życiem, jadam nie syty, a spijam krew niewinną — spadły ciężkie zapory, skała się rozstąpiła i rycerz na koniu od brylantów błyszczącym, w złocistym płaszczu odziany, w mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany, do skały zbrojny wjechał — z konia zsiadłszy: Cóż tu słychać? matki zapytał:

— Mamy tu gościa — matka odpowiedziała.—

— Któż taki, czy który zbójca z blizkiego lasu?

—Nie, rzecze, nie zbójca, ale ten, który, kiedym była na śmierć skazaną, od śmierci mnie wykupił.

— Ach! to ten Pan Kożuszek, którego zbójcy zrabowali, i jam ich za to skarał?

— Ten.

— Gdzież jest ten jeden człowiek na świecie,

którego ja kochać mogę, gdzie jest i co chce, wszystko dla niego uczynię, jeśli chce skarbów, niech bierze, na pół się z nim podzielę.

Wszedł żołnierz, zbójca przyjazną podał mu rękę i na wieczerzę zaprosił.

Matka zastawiła wieczerzę, a nim do stołu usiedli, rzekł zbójca: Aby nam się weselej jadło i piło: niech tu moja przyszła żona przyjdzie — i nie bawem weszła królewna, siadła do stołu i razem wszyscy jedli, pili, i rozmawiali — a matka im usługiwała, i synowi do każdej szklanicy, zaczarowane proszki sypała — kiedy sobie zbójca podchmielił, rzekł do żołnierza: powiedz po coś tu przyszedł, jeśli chcesz skarby swoje odebrać, bierz, dla ciebie uczynię wszystko.

— Wszystko? zapytał żołnierz.

— Wszystko, zbójca powtórzył — a żołnierz mówił:

— Kiedy mam twoje słowo, śmiało tobie wyznaję, że nie chcę skarbów, ale się domagam uwolnienia królewny, i po to tu przyszedłem.

— Słysząc to zbójca, zgrzytnął zębami i nogą tupnął, aż na nim zbroja zabrzękła, ale jednak po chwili łagodnie się odezwał:

—Gdyby te słowa inne, nie twoje usta wyrzekły, nie ja, ale mój miecz na nie by odpowiedział — po tem chwilę zbójca milczał, a po chwili rzekł: Oddam wam wszystkie moje skarby, a dajcie mi czyste sumienie! — skarbów nie chcecie, a szczęście wydzieracie mi gwałtem, więc kiedy nie ma szczęścia dla mnie na tym świecie, odstępuję ci królewnę, ty bądź szczęśliwy, a kiedy będziesz królem, a będziesz kiedy sądził zbójcę, pamiętaj, że i zbójca ma serce.

Weszło pogodnie słońce, żołnierz ze skały wyszedł z królewną, i przy jaskini złączywszy się z chorążym, do króla swego wiódł piękną córę jego —- ale chorąży dręczony od zazdrości myślał sobie:

Ów żołnierz, który znalazł królewnę, on będzie moim królem, a ja, czem byłem, zostanę—dręczony tą zazdrością, wymyślił straszny zamiar żołnierzowi odebrać życie, i na jednym noclegu pałaszem swoim żołnierzowi przeszył pierś, zaś królewnie zapowiedział, iż jeżeli mu nie przyrzecze, że królowi ojcu swemu powie, iż on jej wybawicielem, albo ją samą zostawi wpośród strasznego boru, albo tymże samym pałaszem skróci jej życie.

Drżąca królewna, wybawcę swego widząc we krwi nieżywego, na wszystko, co ten morderca żądał, przystała, i dotrzymać słowa swego przyrzekła, — i zdawało się jej to nic trudnego, bo chorąży był młody i układny młodzian. —

Przybywszy więc ten chorąży do króla, z urodną córką jego, jako jej wybawca od wszystkich był witany, a król według swego dekretu, jemu za żonę dać ją obiecał, i swym następcą go nazwał. —

A iżby uświęcić dzień powrotu królewny i naród smutny rozweselić, rozkazał król wyprawić ucztę dla całego dworu i ludu. —

Kiedy cały kraj wrzał radością, biedny żołnierz sprawca tej radości, na rozstajnych drogach leżał bez duszy — i kiedy się nurzał w własnej krwi, szła matka zbójcy do miasta, owa babina, którą żołnierz, będąc bogatym panem Kożuszkiem od śmierci wykupił, i ujrzawszy go tak nieszczęśliwego, to pomocnemi ziołami, to czarami wróciła do życia — a skoro żołnierz powstał, zaprowadziła go do skały mieszkania syna zbójcy i tam dopóty przebywał, aż zupełnie ozdrowiał.—

Jak żołnierz ozdrowiał, swej dobrodziejce podziękował, z jej synem się żegnał, a syn zbójca do niego rzekł: — Byś o zbójcy nie zapomniał, dam ci pamiątkę po sobie, patrz, oto ten koń ze srebrną i od brylantów błyszczącą grzywą będzie twoim, w ten płaszcz złocisty odziej swe ramię, te mgliste szarfy przy wiąż do boku, w pióra wiejące kołpak swój ubierz, i ten miecz ciężki weź z sobą i jedź do króla do swej kochanki, niechaj ci zwrócą twe prawa; a gdy ci zwrócą twe prawa, i jeżeli osiędziesz na tronie, przyjdź do tej skały, trzy razy mieczem w nią uderz, na zapytanie jak wiesz, odpowiedz, lecz przyjdź, przyjdź pewno. —

Żołnierz ukląknął i przysiągł że przyjdzie — a pożegnawszy się we łzach ze zbójcą i jego matką, na koniu ze srebrną od brylantów błyszczącą grzywą, w płaszcz złocisty, w mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany i z ciężkim mieczem pojechał.

Na swym tronie król siedział, a po jednej stronie jego stała córka, a po drugiej stronie chorąży.

I otwarły się drzwi szeroko i wszedł rycerz w złocistym płaszczu, we mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany i z ciężkim u boku mieczem.

Tak pięknego rycerza kiedy wszyscy ujrzeli, napatrzyć się mu nie mogli, sam król dopytywał się ciekawie, co to za jeden, myśląc że to drugi król jaki wielki — ale rycerz nic nie mówił, i nie miał dworzan żadnych, aby co o nim powiedzieć mogli. — Każdy mu się przypatrywał, wszyscy

mu się dziwili — najlepiej przypatrzył mu się chorąży i poznawszy go krzyknął, że to jeden ze zbójców strasznego boru, z tego samego, zkąd on królewnę wybawił — na ten krzyk i rozkaz króla, skoczyła ze wszech stron służba i na prawdziwego wybawcę królewny, zajadle się rzuciła — a rycerz nic nie mówił, ale jak dobył miecza swego, jak machnął, nietylko wielu ze służby, ale nawet chorążego ze świata zgładził.

Jak tyle trupem położył, skrwawiony miecz do pochwy schował, kto jest i czem, królowi powiedział — zlękniona królewna prawdę przyznała, a on mówiąc: bądź zdrowa, wyszedł.

Idąc, w straszny bór zaszedł, w skałę trzykroć mieczem uderzył, na trzy pytania odpowiedział i gdy się skała rozstąpiła, wszedł do podziemnej krainy i ujrzał, jak zbójca klęcząc, wznosił do nieba ręce, a który widząc przychodnia, przyjaźną podał mu dłoń i rzekł: osądź mnie, osądź mnie teraz — a on mu odpowiedział:

Nie jestem królem, ni sędzią, przybyłem tylko by ci dotrzymać przysięgi i za twój dzielny miecz podziękować — a zbójca powstawszy, mówił:

Wiem o wszystkiem, zdrada pozbawiła cię królestwa, a ty zdradę pozbawiłeś życia, wieleś dopełnił, ale jeszcze nie wszystko, jeszcze jedną rzecz wykonać musisz, słuchaj: moja matka chodząc po świecie z czarami swemi, nie uszła drugiego wyroku, bo nie było tam już pana Kożuszka; mój dziadek bijąc się z wielkim olbrzymem, przez jego podstęp i zdradę, postradał brodę, w której całą moc swoją posiadał, przez co poszedł za córką swoją — i jestem jeden — ale czekaj, za chwilę ja także zakończę życie; kiedy na wieki wieków zamknę powieki, włóż ciało moje na ten stos drzewa za skałą, i kiedy spalisz ciało i kości moje, popioły moje rozrzuć na cztery strony świata, aby nie było i znaku po zbójcy, który żył nie życiem, jadał nie syty, a spijał krew niewinną.

Zbójca wymówiwszy ostatnie słowo skonał a on jego ciało na stosie za skałą spalił, popioły na cztery strony świata rozrzucił — poczem wszedł do skały, co mógł bogactw nabrał, a mając tak ogromne jak wprzódy pieniądze, znowu piechotą sobie dworno po świecie jeździł — będąc i w naszej stronie, wszystkiem stypę wyprawił, ale gdzie się od nas zapodział, to nie wiem.

JASKINIA POTEPIEŃCA:

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Stolnik nic na to nie mógł odpowiedzieć, ujechali więc kawał drogi w milczeniu.

— Powiadają, — rzekł nareszcie Stolnik, — że przed laty straszyło w tem miejscu. Czy to prawda, nie moją rzeczą dochodzić. Muszę jednak waszmości powiedzieć, że w okolicy napowrót stracha wskrzeszono. Opowiadają, że widują po nocy jakąś osobę pod dębem, a nawet pono owe tony słyszano, o których waszmość mi mówiliście. Rzecz tę jednak trzeba zakończyć. Grotę rozwalę, a dąb zetnę i tak raz na zawsze przyczynę baśni usunę.

— Nie, nie! — przerwał mu Miecznik szybko, daj waszmość pokój, przynajmniej ja tego nie zrobiłbym. Wczorajsze zajście utkwiło mi za mocno w pamięci, abym mógł się odważyć... ale no! Waszmość najlepiej będziesz wiedział, co czynić. Proszę tylko panie Stolniku, abyś tymczasowo milczał o tem, com powiadał.

Więcej nie mogli mówić, bo łowcy już ich dognali, zresztą byli już też na stanowisku.

Miecznik zajął się rozstawieniem strzelców, wyznaczył każdemu stanowisko i wnet rozpoczęła się gra psów, a niedługo odgłosy wystrzałów i wrzaski rozległy się po lesie.

Stolnik z Miecznikiem nie brali udziału czynnego. Oddalili się cokolwiek na bok i usiedli na obalonym pniu dębowym obok siebie. Siedząc tak, rozpoczęli rozmowę o tem i owem. Nadchodziły wybory do sejmu walnego, który później został nazwanym konstytucyjnym. Obaj byli prawymi Polakami, dla tego sprawa tak ważna mocno ich obchodziła. Nikt im nie przeszkadzał w wynurzaniu swych myśli, bo w koło gęstwa nieprzejrzana, ciemna. Rusznice oparli o drzewo, kordelasy schowali w zanadrza i tak, rozmawiając, siedzieli. Kilka szaraków przebiegło, kilka rogaczy zaszumiało około nich, ale nie zwrócili na nich uwagi, bo tylko w razie ukazania się grubego zwierza, postanowili wziąść rusznice do ręki.

Tak rozmawiając, upłynęło czasu dosyć wiele. Hałas wzmagał się — to się oddalał, to przybliżał, tylko około Miecznika i Stolnika cisza — ani pies nie szczeknie, ani strzał nie padnie.

— Coś niczego nie wyczekamy, — rzekł wreszcie Miecznik, — trzeba nam będzie zwierza głębiej w lesie poszukać.

Stolnik machnął ręką.

— Miły bracie, — rzekł, — jużeśmy dosyć niedźwiedzi i dzików na oszczep nabrali, nic nam to nowego. Niech młodzi popróbują swej ręki i oka, niech się ćwiczą, bo się jakoś zanosi na inne polowanie.

— Oj prawda, oj prawda, — odpowiedział Miecznik, kiwając głową, — zanosi się na polowanie, ale to na prawdziwe dziki. Moskwa chce znowu burmistrzować — Prusak udaje tylko przyjaciela, a w istocie czycha znowu na urwanie kawała Rzeczypospolitej. O nie wierzę mu, bo to niewierne a łakome jak kruk.

— Już co to, to prawda, — zaczął znowu Stolnik, — wydało się przed piętnastu laty, co to za jedni owe Brandebury. Ni ztąd ni zowąd zażądać wydania sobie części kraju, jest nie tylko zuchwalstwem bez granic, ale co więcej nieuczciwością, barbarzyństwem. Moskwa, miły panie Mieczniku, gdyby nie była się wplątała we wojnę z Turczynem, byłaby zapewne nie dozwoliła Polsce tak się podnieść, jak się podniosła. Jednak jestem przekonany, że skoro tylko uskromni się na wschodzie, zaraz oczy swe napowrót na Polskę obróci. Nieszczęściem zaś naszem, że król Stanisław rozwiązłej carycy wciąż schlebia. Bodajto! nie było, jak za Sasów! — dodał na końcu z westchnieniem.

— Tak, tak, — zawtórował Miecznik, — było i za Sasa siła złego, ale przynajmniej człowiek był obywatelem wolnej Rzeczypospolitej... Coś tu i tam przebąkują, że tron ma być ustanowionym dziedzicznym. Słuszna to rzecz, ale prośmy Boga, aby sejm korony nie oddał w ręce tej łaski moskiewskiej. Ja głosowałbym zawsze na elektora saskiego.

— I ja, — dodał Stolnik, — bo i roztropny i katolik i z gniazda słowiańskiego.

— Jakto?

— A czy waszmość nie wiesz, że Drezno założyli Słowianie? Więc Sasowie pochodzą z gniazda słowiańskiego.

Miecznik kiwnął głową na znak, że to rzecz małej wagi, a potem rzekł uroczyście.

— Popełniono gwałt na wolnym narodzie, ale spodziewam się, że to raz pierwszy i ostatni. Bóg litościwy odda nam napowrót, cośmy niewinnie utracili. Jurgieltnicy moskiewscy odbiorą zapłatę stósowną. a poczciwość będzie nagrodzona. Jak się Rzeczpospolita pozbędzie kąkolu, wtedy i pszenicę czystą rodzić będzie.

— Fiat! — odrzekł Stolnik.

Zadumali się oboje nad tem, o czem dopiero rozmawiali.

Nagle usłyszeli po za sobą jakiś szmer. Obejrzeli się.

— Jezus! Marya! — zakrzyknęli jednocześnie.

Ogromny niedźwiedź stał na dwóch łapach ledwo nie kilka piędzi od nich. Paszczękę kłami uzbrojoną otworzył szeroko, a pazury ostre wysunął naprzód i nim zdążyli się zerwać....

Jak błyskawica, lub kula rzucona siłą prochu, wyskoczył jakiś człowiek z gęstwiny, schwycił z piersi Miecznika kordelas i w tej chwili, kiedy niedźwiedź zahaczał siedzących, utkwił mu żelazo w sercu. Niedźwiedź runął na kłodę i ciężarem swym przygniótł struchlałego Stolnika i Miecznika.

Wnet się zerwali. Niedźwiedź przebity kordelasem Miecznika, trzymał jeszcze w łapach obu czapki, a tak z łysiny Miecznika, jak i Stolnika sączyła krew z ran zadanych pazurami strasznego zwierza.

Chwilę stali bladzi, niemi, drżący, spoglądając na siebie, jakby jeden drugiego pytał: co to? jak to?

Obaj byli odważni, obaj śmiało nieraz na

placu boju kościstej śmierci w oczy bez drgnienia nawet w powieki zaglądali, ale tak nagłe, oczywiste, niespodziewane niebezpieczeństwo, mogło ich pozbawić przytomności i wprawić w osłupienie.

I to jeszcze z dwóch przyczyn, jak się zaraz dowiemy.

Miecznik patrzał w gęstwinę.

— To on! — wyrzekł.

— Cóż to było? — wyszeptał Stolnik.

— To on, poznałem go.

— Co za on?

— Wczorajszy pomocnik przy wkładaniu koła przed grotą, — odpowiedział Miecznik zmięszany.

— Może się waszmość omyliłeś.

— O nie, nie mylę się. To on był, ten sam, ten sam ubiór, te same oczy... poznałem. To nie jest zwyczajna istota.

— Chociaż to nagłe zjawienie się uważać muszę za osobliwość, — rzekł powolnie Stolnik, — to jednakże nic w tem nadludzkiego nie widzę.

— Może być, może być, — odrzekł szybko Miecznik, — i ja nic stanowczego nie twierdzę, ale jednak... Co za wprawna ręka, trafne uderzenie... to jednak... no! — mruczał sobie Miecznik pod nosem, urażony, że Stolnik nie podziela jego zdania.

Podczas kiedy Miecznik sam do siebie mówił, wpatrywał się Stolnik w zabitego niedźwiedzia. Bestya była ogromna, kudłata: w pazurach trzymała czapki obu panów i to tak silnie, że bez zepsucia i czapek i łap, nie można ich było wyjąć. Kordelas tkwił wbity po samą rękojeść w piersi niedźwiedzia, z których jeszcze czarna krew sączyła.

W milczeniu przypatrywali się zwierzowi, obliczając w myśli niebezpieczeństwo, które im zagrażało, a z którego sposobem cudownym byli wyratowani. I sceptyczny Stolnik nie mógł utaić, że całe to zdarzenie dziwne wywarło na niego wrażenie. Nagłe zjawienie się nieznajomego, ubiór jego fantastyczny, rzucenie się na niedźwiedzia szybkie jak błyskawica i nagłe zniknienie jego, jakby się dym rozwiał, było za twardym orzechem dla ich rozumu, musieli przeto poszukać przyczyny w sile nadprzyrodzonej.

Jeśli człowiek rozumem swoim jakiego zjawiska pojąć nie może, to zawsze uważa je za objaw siły nadprzyrodzonej. Leży to w naturze ludzkiej. Raz, że człowiek nie chce się przyznać do ograniczoności swego rozumu, powtóre, że wierzy w dwojakie życie: ziemskie i pozagrobowe — ostatnie uważa za daleko doskonalsze. Zjawiska przechodzące, lub zdające się przechodzić granice możności ziemskiej, fizycznej siły, przypisuje konsekwentnie wyższej duchowej potędze.

Zbliżający się wieczór zgromadził strzelców na jednej obszernej polanie, na której zwyczajem łowców, zjedzono przekąskę. Wydobyto ze skrzyń wina i wódki, chleba i szynki, które wnet znikły, bo wszyscy po całodziennym harcu głodni byli, jak wilcy wśród zimy.

Wesołość była ogólna, bo zabito kilku dzików, niedźwiedzi i innego grubego zwierza mnóstwo, a mianowicie, że żadnego przypadku nie było. Jednak, gdy zobaczono Stolnika i Miecznika z podrapanemi łysinami, gdy ujrzeli niedźwiedzia, jak jeszcze ich czapki trzymał w pazurach, domyślili się, że tu coś zajść musiało. Pytano ich, ale oni nic pewnego powiedzieć nie chcieli. Kiedy im chciano powinszować tak wprawnego uderzenia kordelasem, dopiero Miecznik odezwał się, kiwając głową:

— Prawda, mój to jest kordelas, ale ja nim niedźwiedzia nie ugodziłem; ten zaszczyt nie mnie się należy.

— A więc pan Stolnik uderzył niedźwiedzia, — zawołano, — wiwat pan Stolnik!

— Ale i ja nie! — przerwał im tenże szybko.

Któż to więc? — pytano zewsząd, — przecież ktoś musiał go zabić, gdyż niepodobna, aby niedźwiedź miał sam sobie oddać taką przysługę.

Opowiem panom to w domu, — rzekł Miecznik, — do tego czasu proszę mnie nie pytać.

Przystali na to łowcy, wiedząc, że Miecznik uparty nie dałby im żadnego objaśnienia, a za karę, mógłby jeszcze w domu o wszystkiem zamilczeć.

Już wieczór był na dobre, gdy orszak powrócił do zamku. Pamiętna na przyrzeczenie Miecznika, dopominała się po skończonej wieczerzy szlachta, aby im teraz zajście z niedźwiedziem opowiedział, ale on ociągał się jeszcze, a Stolnikowi szepnął do ucha, że dopiero opowie, gdy niewiasty ich opuszczą. Siedziało

przy stole mnóstwo pań, gdyż szlachta zjeżdżająca się, prócz Miecznika, przywiozła ze sobą żony i córki.

Poznając Stolnik uwagę Miecznika za słuszną, dał w krótkim czasie po wieczerzy znak żonie — panie powstały i udały się do osobnego salonu.

Miecznik opowiedział wszystko. Najprzód to, co słyszał o jaskini potępieńca z ust Stolnika, a wreszcie o wczorajszem zdarzeniu z kołem i dzisiajszem ubiciu niedźwiedzia. Opowiadanie jego różne na obecnych sprawiło wrażenie. Starsi siedzieli poważni, zamyśleni, lub czyniący uwagi nad niewytłumaczonem zjawiskiem, młodzież zaś, mianowicie ubrana z francuzka, uśmiechała się dwuznacznie do siebie.

Rozmowa w tym sensie toczyła się już dosyć długo. Ten i ów rozumował, jak mu właśnie fantazya nastręczała, jednak nikt zagadki rozwiązać nie potrafił.

Tu powstał Cześnikiewicz, a podniosłszy kielich wina, rzekł z uśmiechem!

— Panowie, bodaj to mieć takiego biesa, co to zamiast człowiekowi karku nakręcić, jeszcze dopomoże, od śmierci wybawi, a nawet nie żąda podziękowania. A więc zdrowie takiego biesa!

To mówiąc, spełnił, a za nim kilku po francuzku ubranych. Szlachta jednak starej daty spojrzała groźnie na młodzików.

— Wstydź się waćpan! — zawołał Stolnik, — zkąd to waszeci przychodzi do głowy w gronie tak poważnych a siwizną okrytych osób bluźnić i drwić sobie z ich przekonań?.... Może to moda we Francyi, ale u nas w naszej katolickiej Polsce do tego jeszcze nie przyszło.

Cześnikiewicz się uśmiechnął.

— Panie Stolniku, panowie bracia. — rzekł. — proszę mi darować, bom ani na myśli nie miał urazy. Jednak w podobnego biesa uwierzyć nie mogę. Na przekonanie, panowie, tak jak jesteśmy zebrani, jedźmy teraz wszyscy do jaskini potępieńca, a przekonamy się naocznie o ile ta historya jest prawdziwą. Jak się zdaje, bies ów musi być bardzo dobrej natury, przeto niebezpieczeństwa nie ma! — dodał w końcu żartobliwie.

Projekt ten niespodziewany znalazł natychmiast wielu zwolenników.

— Dobrze! brawo! Cześnikiewicz ma racyę!!

— Brawo! oddamy biesowi wizytę w jego własnej rezydencyi!

Miecznik jednak zganił im to.

— Waszmość panowie, nie decydujcie się za prędko, abyście zapóźno nie żałowali. Lubo Pan Bóg cuda rozmaite działa i nie odda chrześciańskiej duszy w moc złego ducha, to jednak z djabłem się borykać ani człowiekowi przystoi, ani bezpiecznie. Kto się na takie niebezpieczeństwo naraża ze swawoli, tego łatwo może Bóg w stanowczej chwili opuścić. Śmierci się nie boję, panowie wiecie dobrze, że jej więcej niż sto razy zaglądałem w oczy, a ona gorsza od biesa, na którego zwyczajny znak krzyża świętego już jest dostateczną bronią; jednak ja waszmościom odradzam.

Ale młodzież ani słuchać tego nie chciała.

— Pojedziemy, pojedziemy, — wołano zewsząd, — złowimy biesa i przyprowadzimy go tutaj w kajdanach!

— Pewno banda złodziei obrała tam swe leże, i ażeby ich nie wypłoszyć, pozwalają sobie tedy i owedy odgrywać rolę ducha, — rzekł jeden ze szlachty.

W końcu uradzono rzeczywiście oddać wizytę duchowi, gdyż część obecnych była tego przekonania, że w jaskini ukrywa się jaki włóczęga. Nim więcej wina pili, tem więcej nabierali ochoty; a byli tak pewni, że mniemanego ducha złowią, iż namawiali się, jakie z nim będą wyprawiali figle, jak z największym tryumfem sprowadzą ubranego w bieli i dzwoniącego łańcuchami.

Tymczasem Stolnik z Miecznikiem opuścili towarzyszy i weszli na wieżę, na której strażnik czuwał przy okienku. Zastali go klęczącego.

— Cóż ci to? zapytał Stolnik.

— Nadchodzi godzina, w której się ukazuje potępieniec na jaskini! — odpowiedział strażnik.

Miecznik otworzył okno.

Księżyc płynął spokojnie pod sklepieniem niebieskiem, rzucając srebrzyste światło na uśpioną ziemię. Góra z dębem wyraźnie rysowała się na horyzoncie, tak że można było dokładnie dojrzeć wszystko, co się na niej działo.

Nic osobliwszego nie można było widzieć. Dąb stał nieruchomy, a góra była próżna.

Naraz stado wron zerwało się z dębu, okrążyło go kilka razy, i z przeraźliwem krakaniem poleciało do lasu. Najprzód niewyraźnie, potem

coraz widniej ukazywała się jakaś plama na samym wierzchołku góry pod gałęziami dębu.

Miecznika i Stolnika przeszło mrowie od stóp do głów.

Plama rosła, zamieniła się w głowę ludzką, — po niej wykazała się szyja, potem kadłub. Postać człowieka wyrastała wyraźnie ze ziemi... już stoi... chwieje się to w tę, to w ową stronę... wznosi się w górę i... zawisnęła pomiędzy niebem a ziemią.

Miecznik się przeżegnał.

— A słowo stało się!.. wyrzekł przerażony Stolnik.

— Zawołajmy naszych śmiałków; czy będą jeszcze teraz mieli odwagę odwiedzić ducha, — dodał Miecznik po chwili milczenia.

Jakoż zeszli, a niedługo wszyscy goście zgromadzili się na wieży zamkowej. Przez niejaki czas nikt słowa nie wyrzekł, dopiero po chwili odezwał się jeden ze starszej szlachty:

— Na Boga! to coś nieludzkiego.

— To duch! — dodał drugi.

— To bies! — dorzucił inny.

Wyraz „bies" wprawił znowu młodzież w dawny wesoły humor. Nadzwyczajność zjawiska nie wywarła na nich żadnego przerażającego wrażenia, owszem żarciki posypały się gradem.

— A co? bies niby Twardowski zawisnął pomiędzy niebem a ziemią.

— Pewnie godzinki śpiewa.

— A ba! godzinki? nie, on się powiesił.

— Albo odbywa inspekcyę okolicy.

— W każdym razie pojedziemy do niego.

— Naturalnie!

— Siadajmy na koń!

— Siadajmy!

Po tych słowach zbiegli hurmem na dół. Stolnik prosił, aby nie robić hałasu, tylko milczkiem wyjechać ze zamku. Niewiastom powiedział, że chcą nocną przejażdżkę odbyć po polach. Niedługo też most opadł i szlachta cwałem ruszyła ku jaskini potępieńca.

Widmo ani nie drgnęło.

Nim bliżej dojeżdżali, tem bardziej chłód nocny ostudzał ich zapał. Już ten i ów szeptał po cichu: sub tuum praesidium ten i ów wyciągnął szkaplerz i całując go, oglądał się w tył, ale jednak nie śmiał nikt się cofnąć, aby się nie pokazać tchórzem.

Dojeżdżali coraz bliżej, a widmo ani się nie ruszyło. Małe chmurki zaczęły zaciemniać niebo; nagle większa chmura zaległa widnokrąg, a gdy dojechali do podnóża góry, zaciemniła księżyc i widmo wyglądało tylko jako ciemna masa w przestrzeni; jednak ani się nie poruszyło.

— Do milion kroć!.. — krzyknął jeden z młodszych, schwycił pistolet i wystrzelił do widma na odległość ledwo dwudziestu kroków.

Był to strzelec zawołany, na dwanaście strzałów trafił zapewne jedenaście razy w centrum.

Widmo po strzale nagle znikło.

Pozsiadali teraz z koni i jedni stanęli u wnijścia do groty, a drudzy pobiegli na wierzchołek góry. Nic tam jednak nie znaleźli. Dąb stał nienaruszony, a na skalistym gruncie żadnego śladu. Zaczęli więc głowami kręcić, a jakiś mimowolny przestrach zaczął ich dreszczem przejmować.

Miecznik, Stolnik i Cześnikiewicz stali przy wejściu do groty. Zapalono pochodnię. Grota połyskiwała kwarcowemi kryształkami, jakby dyamentami była wysadzona. Wązki otwór naprzeciw wejścia wydawał się tylko jako ciemny punkt, w którym ciemność zwiększona światłem zdawała się jeszcze czarniejszą, jakby była w stałą masę zbitą.

Wszyscy trzej obejrzawszy grotę, zbliżyli się do otworu. Okazał się konicznym, na kilka stóp długim, a na końcu znów ciemność. Kilka nietoperzy zaszumiało w otworze, zapiszczało i wyleciało. Nic jednak nie pokazało się osobliwszego.

Nagle wszyscy trzej razem zakrzyknęli: Jezus! Marya! Józefie święty!.. Cześnikiewiczowi wypadła pochodnia z ręki, i pozostali w grubej ciemności. Przerażeni biegli na oślep szukać wyjścia, a z głębi jamy odezwał się suchy, przeraźliwy głos: ha! ha! ha!

Cóż to? cóż ich tak wystraszyło?

W otworze oświeconym, czyli raczej na jego końcu pokazała się nagle głowa aż pod szyję, z twarzą tak brzydką... tak brzydką, że nie można jej dokładnie opisać. Włosy rozczochrane, kołtuniate, zdawały się wisieć około żółtej, brzydkiej twarzy, jak wijące się żmije lub węże, a fizyognomia jakaś djabelska, piekielna.

Nim zdążyli wyjść, dobiegli do groty ci, którzy widma na górze szukali, i to jeszcze na czas, że usłyszeli śmiech z głębi otworu. Doskoczyło natychmiast kilku i w otwór padły na

oślep trzy strzały... huk jakiś głuchy, bez echa... i cisza.

W milczeniu powsiadali na konie i wrócili do zamku. Powrót ich był zupełnie inny, aniżeli wyjazd, gdyż wyjechali gwarno, szumno, pewni zwycięztwa, a wracali cicho, przerażeni, zwyciężeni.

Miecznik wziął w drodze Stolnika na bok.

— Cóż waszmość na to? — zapytał.

Stolnik wzruszył ramionami.

— Prawie muszę uwierzyć w cuda, — odpowiedział — które o tej jaskini opowiadają. Naprawdę przestraszyłem się.

— Ja z mej strony mam inny powód do obawy, — rzekł Miecznik tonem ponurym; — wystaw sobie, panie Stolniku, ja tę twarz już widziałem.

— Mnie ona całkiem nieznajoma, — dodał po chwili Stolnik, — nie widziałem jej nigdy. Musi to jednak być coś nie z tego świata, bo tyle brzydoty w jednej osobie zebrać się nie może. To istny czart z piekła.

Nim Miecznik zdołał co na to odpowiedzieć, nadjechał Cześnikiewicz i przyłączył się do nich.

— A co? — zapytał go Miecznik, — chce się jeszcze waszmości drwinkować? Jeśli jesteś takim ateuszem, jak to chciałeś nam pokazać, to idź teraz sam do jaskini, bo jaką kto wiarę wyznaje, ten czynem jawnie prawdziwość swego przekonania stwierdzić, i dowieść powinien.

Cześnikiewicz nic nie odpowiedział, Miecznik ciągnął dalej:

— Uczułeś dreszcz i bojaźń, a przez to dowiodłeś, że ateuszem nie jesteś, że zawsze tli w tobie wrodzona idea nadnaturalności, życia pozagrobowego. Jest ona w każdym człowieku, a chociaż życiem niereligijnem przyćmiona lub obcowaniem z ludźmi nierozsądną filozofią przesiąkłymi przygaszona, to jednakże budzi się na każdy najmniejszy objaw siły nadprzyrodzonej, niepojętej. Może widzieliśmy na przykład dzisiaj człowieka takiego, jak my, jednak okoliczności, które zjawisku temu towarzyszą, zgrozą i dreszczem nas przejęły, czyli obudziły w nas ideę nadnaturalności.

Stolnik z Cześnikiewiczem przysłuchiwali się Miecznikowi w milczeniu, oddając mu w duszy słuszność.

— Co się mnie tyczy, — zaczął znowu Miecznik, mam inne powody obawy. Powiem panom, że tę twarz już trzy razy widziałem, a za każdą razą była mi wróżbą nieszczęścia. Owóż dzisiaj widzę ją po raz czwarty! Zapewne szczęścia mi nie wywróży, — dodał z przytłumionem westchnieniem.

— Omne trinum perfectum, — rzekł na to Stolnik, — panie Mieczniku, zawczasu nie trwóżcie się nadaremnie. Jeśli bies trzy razy nieszczęście wywróżył, to za czwartą razą szczęście przynieść powinien. Ale proszę, panie Mieczniku, opowiedz nam jak się to stało.

— Smutna a długa to historya, — odpowiedział na to Miecznik, — czasu teraz do tego nie ma, gdyż oto jesteśmy już w domu, jutro da Bóg doczekać, opowiem wszystko.

W istocie wjeżdżali w bramę.

Dziwy jaskini potępieńca skwasiły humor biesiadnikom. Milcząc wypili jeszcze jedną i drugą butelkę, a potem rozeszli się na spoczynek, aby jutro rychło do domów się rozjechać. Zresztą było już dawno po północy.

Nazajutrz goście się porozjeżdżali z wyjątkiem niektórych bliżej ze Stolnikiem zaznajomionych lub skoligaconych, a mianowicie Miecznik, Cześnikiewicz i jeszcze kilku. Dzień był ponury, wilgotny, usposabiający człowieka do poważnych myśli, do marzenia, do dumania.

Któż nie doznał owego dziwnego wrażenia, jakie słotny dzień jesienny na każdego wywiera. Kiedy się spojrzy oknem na ogołocone szare pola, na bezlistne drzewa skrapiane drobnemi kropelkami deszczu, to wtenczas ściska się człowiekowi serce, a myśl leci gdzieś daleko w górę, aż nie mogąc okiem cielesnem przebić nieprzejrzystego całunu, którym niebo okryte, wraca napowrót na ziemię i mimowolnie spoczywa na... cmentarzu. Tam gdy oko i myśl chwilę pobawi, człowiek odwraca się z westchnieniem od okna.

Mówią i piszą, że zima jest obrazem śmierci. Może być. Jednakże chociaż natura uśpiona, nakryta pokładem śniegu, wszelako wzbudza w człowieku weselsze myśli. Oko napawa się blaskiem promieni słonecznych, odbitych milionami kryształów śniegowych; ucho cieszy się odgłosem dzwonków kuligowych i radby człowiek wybiegł z pokoju, pobawił się piękną naturą, popatrzał na błękitne niebo. Natura śpi, ale okryta, daje możność widzenia swych wdzięków.

Inaczej w słotnej jesieni. Natura nie śpi, ale okrywa się w ubiór straszny, żałobny, zasłania twarz i kryje się po za deszczowym welonem. Ziemia czarna, niebo czarne — i myśli człowieka czarne. Zamiast brzęku kuligów, świegotania wróbli, słyszysz świst wiatru i chlastanie deszczu o szyby. Zwierzęta dzikie i swojskie kryją się po kątach. Świegotliwy wróbel wciska się na poddasza; ani nie pisknie, tylko zwija się w kłębek i tak dumając o latowej pszenicy i smacznych wiśniach, zasypia. Wrony zmokłe siadają na gałęzi, zwracają długi czarny dziób do wiatru i tak siedząc kołyszą się to w tył, to naprzód. Sam człowiek nie wyjrzy wcale po za próg domu; a jeśli zmuszony wyjść, to głowę otula, patrzy w ziemię i wlokącym się krokiem chlaszcze w rozrobionem błocie.

O! straszne są słotne dni jesienne!

Taki właśnie był dzień, gdy goście Stolnika opuścili zamek.

Około południa państwo Stolnikowie, Miecznik, Cześnikiewicz i pozostali goście zeszli się razem do salonu.

Pomimo milczenia o tem, co wczoraj zaszło, już panie wiedziały wszystko z najdrobniejszemi szczegółami, a może jeszcze więcej wiedziały jak prawdę. Wieść o strachach tak przeraziła wszystkie damy, że się nawet bały przejść same przez kurytarz, a może była nawet przyczyną odjazdu spiesznego znacznej części gości.

Miecznik już też wiedział, że damom wczorajsza awantura nie jest tajemną, dla tego sam wszczął rozmowę o zjawisku.

— Obiecałem powiedzieć, jakie wspomnienie wzbudziła we mnie owa straszna twarz, która nam się ukazała w jaskini. Kiedym jednak przez noc trzeźwiej nad tem się zastanowił, przyszedłem do tego przekonania, że to tylko było złudzenie, a podobieństwo widziadła wskrzesiło w mej imaginacyi mego prześladowcę. Co jednak najgorsza, spodziewam się teraz, że rzeczywistego biesa widziałem.

Tu umilkł, a z nim wszyscy obecni pogrążyli się w milczeniu.

— Nigdy nam nie powiadałeś, panie Mieczniku, — odezwała się po chwili Stolnikowa, — abyś miał osobistego prześladowcę, a jeszcze tak tajemniczego.

— Nikomu też tego jeszcze nie powiadałem, — odpowiedział, — ale dzisiaj, ile że wczoraj przyrzekłem, opowiem chętnie, jeżeli panowie i panie pozwolicie.

— Owszem, prosimy! — rzekła Stolnikowa.

— Prosimy, prosimy! — zawołali inni.

Miecznik poprawił się w krześle i rozpoczął swoje opowiadanie.

— Będzie temu teraz przeszło dwadzieścia lat, kiedy ze żoną pojechałem za interesami na Litwę nad samą granicę Moskwy. Pan Bóg dał nam wtedy przed dwoma latami dziecię, chłopczyka, imieniem Zygmunt, które wzięliśmy ze sobą, gdyż nie wiedzieliśmy, jak długo tam zabawimy. Istotnie pobyt nasz potrwał blizko pół roku.

Ukończywszy interesa, powracamy. Mieliśmy ze sobą trzy pojazdy. W pierwszym jechał frauncymer z dzieckiem, w drugim ja ze żoną, a w trzecim za nami służba męzka.

Po południu dojechaliśmy do lasu, nie tak szerokiego, jak raczej długiego. Wjechaliśmy bez żadnej obawy, bo chociaż bandy moskiewskie już się tłukły po nad granicami, to jednakże o rozbojach słychać nie było. Już pierwszy pojazd zniknął nam z przed oczu... wjeżdżamy w krzaki... owóż z pomiędzy krzaków wychyla się ta sama twarz, którą wczoraj mniemałem widzieć w jaskini potępieńca, tylko z tą różnicą, że głowę miała pstrokatym płatem okrytą. Żona zakrzykła lekko z mimowolnego przerażenia, a i ja nie mogłem pozbyć się niemałego wrażenia, jakie na mnie to widziadło wywarło. Sięgnąłem do kieszeni, aby rzucić jałmużnę żebraczce — gdyż za taką ją poczytywałem — ale gdym pieniędzy dobył, już baby nie było. Pojazd stanął, sądziłem bowiem, że żebraczka po jałmużnę przyjdzie; ale gdzie tam. Cóż to? pomyślałem, czy sobie chce zadrwić ze mnie? Zakrzyknąłem więc na służbę:

— Hola! chłopcy! skoczcie-no i przyprowadźcie mi tę czarownicę!

Chłopakom tylko w to graj! Rozbiegli się po lesie, ale baby ani śladu. Szukano po krzakach, pod liściem nawet... nie było. Sam więc zeszedłem, aby się przekonać, — ale baby jak nie ma, tak nie ma.

Zdziwieni pojechaliśmy dalej.

Poszukiwania nasze trwały tak jakoś dobre pół godziny, dla tego ruszyliśmy prędzej, aby dognać pierwszy pojazd, który nas już znacznie musiał wyprzedzić. Lecz chociaż pędzimy cwałem, pojazdu jednak dognać nie można. Wie-

czór się zbliżył... pojazdu nie ma. Nareszcie zobaczyłem przed sobą nade drogą futor leśnika. Dojeżdżamy... krzyknę na leśnika, czy tu nie przejeżdżał taki a taki pojazd. Nie! odpowiedział leśnik, powiadając, że dzisiaj prócz żydów kilku i parę chłopskich furek, nikogo na oczy nie widział; zaręczył nawet, że nie mógł nikt tędy niepostrzeżenie przejeżdżać, gdyż od samego południa siedział przed domem i krokiem z miejsca się nie ruszył.

Dreszcz przeszedł po mnie, żona w głos płakała, przeczuwając jakieś nieszczęście. Że leśnik prawdę mówił, poznawałem to z jego dobrodusznej miny; trudno mi jednak było sobie wytłumaczyć, dla czego dognać ich nie mogłem, gdyż pierwszy pojazd pewno nie pospieszał w tak szalonym pędzie, jak nasz. Może zabłądzili, może inną drogą pojechali, może... tu mi przez głowę przeleciał wyraz: zbójcy! Zdrętwiałem na to wspomnienie, ale się pochamowałem, aby żony zawczasu nie przestraszać.

Nie namyślając się długo, kazałem odprządz konie i tak konno chciałem puścić się napowrót. Żonę powierzyłem dla bezpieczeństwa jednemu służącemu, a sam z resztą pojechałem galopem tą samą drogą, którą niedawno przebyłem. Ujechałem daleko, drogi bocznej nie ma żadnej, a pojazdu nie widać. Dojechawszy do miejsca, gdzie się baba pokazała, straciłem nadzieję. Trzeba się było wrócić, gdyż już było bardzo późno. Smutny stanąłem przed chatą leśnika, nie wiedząc, jak żonę pocieszyć, lubo sam pociechy potrzebowałem. Postanowiłem obudzić w jej sercu nadzieję, krórej rzeczywiście nie miałem, że może pojazd z dziecięciem mimo to nas wyprzedzając, nie był od leśnika spostrzeżonym i na pierwszej stacyi noclegowej nas oczekuje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PODDANIE SIĘ INDYAN WOJSKU STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Geronimo nazywa się naczelnik plemiona indyan skiego Chiricahuas, należących do wielkiego szczepu Apachesów, najdzikszych i najokrutniejszych Indyan północnej Ameryki. Znane są prawie wszystkim Czytelnikom „Tygodnika" czyny barbarzyńskie Apachesów, których się dopuszczali na bezbronnych osadnikach, niewinnych niewiastach i dzieciach. Nie pierwsza ich to wyprawa zbójecka na osady białoskórców. Już w r. 1876 podjęli podobnąż wyprawę pod naczelnictwem tegoż samego Geronima, który nimi i teraz dowodzi. Schwytano go jednakowoż wraz z bandą, a okutego w kajdany odesłano do rezerwacyi indyańskiej San Carlos w terytoryum Arizona. W sierpniu 1877 r. puszczono Geronima na wolność. Po cztero- czy pięciomiesięcznej nieczynności wyłamał się znów na czele bandy z rezerwacyi i przez półtora roku mordował, rabował i palił w New Mexico i Arizona i sąsiednich prowincyach Meksyku. Poddał się nareszcie i znów został zaprowadzony na rezerwacyę. Tu pozostał aż do roku 1881, kiedy znów się wyłamał na czele bandy, a rabując i mordując po drodze udał się do gór Sierra Madres w Meksyku, gdzie znał wszystkie kryjówki. W pogoń za nim poszedł jenerał wojska Stanów Zjednoczonych, Crook, który go naszedł w górach, lecz nie stoczył z nim potyczki, lecz miał tylko umowę, na mocy której Geronimo w kilka miesięcy później wraz swą bandą stanął na granicy meksykańskiej i się poddał tam go oczekującemu wojsku amerykańskiemu. Rycina na str. 33 przedstawia owe poddanie się. Geronimo odstawiony do rezerwacyi, urządził niedawno temu nową wycieczkę i przedostał się przed kilku tygodniami przez granicę meksykańską.

PRZEPISY DLA KĄPIĄCYCH SIĘ.

Z praktycznych rad zamieszczanych w „Kuryerze Warszawskim", powtarzamy tutaj szczegółowo punkt po punkcie: 1) unikać kąpieli przy najmniejszej niedyspozycyi, zwłaszcza, jeżeli tej towarzyszy gorączka; 2) nie kąpać się wcześniej, jak po dwóch lub trzech godzinach od przyjęcia ostatniego posiłku; 3) zapocenie nie przeszkadza, ale oddech winien być zupełnie spokojny; 4) nie wchodzić do wody powoli, lecz przeciwnie zanurzyć się odrazu, ażeby uczucie zimne odczute było odrazu, całem ciałem; 5) nie pozostawać w wodzie bezczynnym, lecz przeciwnie starać się przyspieszyć obieg krwi ruchami ciała: pływaniem lub rozcieraniem członków; 6) nie zostawać w wodzie godzinami, lecz uciekać z niej w tej chwili, skoro tylko ogarnia nas zmęczenie od ruchów i zimno od wody: febryczne szczękanie zębami, wątpimy żeby sprawiło komu rozkosz, a następstwa może mieć bardzo smutne; 7) wytrzeć ciało do sucha, aż do zaczerwienienia skóry, w celu ułatwienia odwrotnej cyrkulacyi krwi do skóry i organów, położonych na zewnątrz; 8) nie siedzieć, nie marudzić, lecz ubierać się prędko; 9) napić się szklankę zimnej wody, iść na spacer, chodząc dopóty, dopóki się nie dozna uczucia ciepła; 10) osoby krwiste przed wejściem do wody powinny zmaczać głowę i piersi w okolicy serca.

Zachowując te warunki, można rozpocząć kąpiel bardzo wcześnie — i kąpać się choćby do późnej jesieni, nagrodą tego będzie doskonały apetyt, czerstwość ciała i umysłu.